Ner 15. Kraków 13 kwietnia 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny", albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarni.

☞ Upraszamy o wczesne nadesłanie zalegającéj prenumeraty na bieżący kwartał.

RYWALE.

(SZKIC Z OSTATNIEGO KARNAWAŁU.)

(Ciąg dalszy.)

Inaczéj rzecz się miała z aktuaryjuszem. Ten do trzydziestego czwartego roku nie uznał za stosowne uczyć się tańczyć; kiedy jednak doszedł już do pewnego stanowiska i począł przecierać się (jego własne wyrażenie) między paniami, uznał, że niepodobna nie tańczyć. Zwlekał jednak tę srogą konieczność z dnia na dzień — aż tu nagle dostaje zaproszenie na bal do radcy. Powierzył więc swoje krótkie nóżki do edukacyi jednemu z pokątnych mistrzów, mieszkającemu na Nowolipiu i punktualnie pędził tam z biura, a że godziny tańca nie wystarczały, więc pan aktuaryjusz w domu douczal się i ćwiczył z własnéj ochoty, i rano i wieczór zadyszany skakał po swoim pokoju, powtarzając niezmordowanie: raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy....

Za wejściem jednak do salonu pana radcy stracił odwagę. Dopiero potém, gdy szał zabawy ogarnął go, zdecydował się poprosić starszą córkę pana domu, bo tak wypadało według regulaminu przyzwoitości, którego się trzymał pan aktuaryjusz. Już zbliżał się do niéj, gdy zawolano do kolacyi. Ten wypadek zmięszał odwagę pana aktuaryjusza. Nie odstąpił jednak od tego, co sobie postanowił i po kolacyi ponowił atak. Pannie Róży więc dostał się ten los w udziale, że pierwsza miała wprowadzić nogi pana aktuaryjusza w świat tańczący. Ale nogi te, przyzwyczajone do komendy właściciela, nie zważały wcale na takt muzyki i pan aktuaryjusz niezmordowanie powtarzał za uchem panny Róży raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy. Ztąd powstała niezgoda nóg, tancerz trząsł się, wyskakiwał koło swojej tancerki, jak opałka za wozem i kiedy w szalonéj ochocie zachciało mu się skręcić w lewo — obaczył się naraz zamiast na lewo na ziemi, a pod sobą pannę Różę. Długiego dość trzeba było czasu, zanim zmięszany aktuaryjusz zdołał się podnieść — na czworakach przeszedł jak pająk nad tancerką, którą potłuczoną usłużna młodzież podniosła z ziemi. W téj chwili twarz panny sprzeniewierzyła się swemu imieniowi — nie była to Róża, ale piwonija.

A kiedy aktuaryjusz przyprowadziwszy do ładu swoją toaletę przyszedł przepraszać ją — piwonija przeszła w sine barwy oburzenia, do którego przyczyniło się owo przypomnienie rzuconego bukietu. Tak więc najwyraźniéj według przysłowia przyjaźń między panną Różą i panem aktuaryjuszem przekłóła się ową szpilką, któréj on użył do swéj krawatki.

Tańczące pary wstrzymane chwilowo upadkiem nieszczęśliwéj pary, puściły się znowu z większym rozpędem, że aż świeczniki gasły. Panią radczynię obracał właśnie pan Badyli, ów ostatni kotlet. Nauczony obcém doświadczeniem, nie kusił się nawracać na lewo gmachu pani radczni, i nie spieszył się wcale. Brak zapału do tańca i powolność, chciał nagrodzić rozmową — rozpoczął więc konwersacyją o wypadkach bieżących, a raczéj leżących — tj. o przewróconéj parze.

— Ależ zręczni — dobrali się oboje — rzekł.

Pani radczyni milczała — Badyli ciągnął daléj.

— Któż jest ta panna brzydka, która mimo dość statecznego wieku, jak się domyślać można, tak niezgrabnie tańczy? —

— To moja córka.

Pan Badyli osłupiał z przerażenia. Po takiéj pochwale dla córki nie wypadało, jak posadzić mamę, wziąść za kapelusz i zniknąć. Co też niebawem uczynił. Próżno radca biegł za nim pytając o przyczynę tak nagłego wyjścia.

— Przepraszam, bardzo przepraszam, spieszy mi się, wyjść muszę.

— Ależ to po północy już, pan nie masz kartki wolnego chodzenia po nocy.

— Mam niedaleko do domu — iść muszę.

— Może pan słaby, może w lekarstwie?

— Tak tak — mówił Badyli pospiesznie, aby się uwolnić.

— A! w takim razie nie przeszkadzam.

I wrócił radca pod piec do swego znajomego, czło-

wieka już nie pierwszéj młodości, wdowca, który na Tamce miał dom z ogrodem. Pan radca przyczepił się do niego i pracował nad szczęściem swéj pierworodnéj córki, tj. nad sposobem pozbycia się jéj z domu swego. Wdowiec z uwagą słuchał radcy, rozwodzącego się nad przymiotami swéj córki, który nawet upadek w tańcu tłomaczył mu na jéj zaletę, że nie jest amatorką tańców, że lubi spokój, gospodarstwo, towarzystwo ludzi statecznych.

— To anioł powiadam ci — zakończył pochwały. Chodź, poznam cię z nią, przedstawię cię.

I ciągnął zamożnego wdowca do drugiego pokoju, gdzie właśnie wyszła Róża, a w duszy cieszył się tryumfem, jaki skojarzeniem tego małżeństwa odniesie nad żoną, która utrzymywała zawzięcie, że on już do niczego niezdatny.

— Co męzki rozum, to nie babska głowa — mówił sobie w duszy pełen dumy, a głośno rzekł:

— To anioł powiadam ci — potulna, cicha.

Słowa jego przerwał odgłos policzka — to Róża ów anioł, owa potulna Róża, tak poczęstowała służącą za to, że niezgrabném przystąpieniem oberwała jéj pół sukni.

— Czyś ślepa, zawołała w oburzeniu panna rozirytowana dzisiejszemi niepowodzeniami. Biedaczka nie przeczuła, że temi słowami i policzkiem odpędziła jedynego konkurenta od siebie. Wdowiec położył uszy po sobie i cichaczem uciekł do salonu przed potulnym aniołem.

W taki sposób bal ów, wydany na korzyść panny Róży, wypadł dla niéj nader niefortunnie. Za to Wicunia podobała się powszechnie, może właśnie dla tego, że nie usiłowała się podobać. Piękna twarzyczka, swobodny humor nęciły ku niéj młodzież — wiła się koło niéj jak motyle w dzień pogodny koło kołyszącéj się róży (mowa tu o kwiatku, nie o pannie Róży).

Zagrano mazura — blondyn i brunet równocześnie przyskoczyli ku niéj i zderzyli się silnie o siebie tuż przed panną.

— Proszę —

— Czy mogę prosić —? —

Wicunia spojrzała, uśmiechnęła się filuternie, zawahała się chwilkę i — podała rękę brunetowi.

Kanarek posmutniał. — Wicunia, odchodząc, szepnęła mu na pociechę:

— Wybiorę pana.

Ale brunet, który słyszał ową obietnicę, szepnął na ucho vortänzerowi:

— Proszę cię — żadnych wybieranych figur.

I blondyn całego mazura przesiedział, ścigając oczami ruchliwą Wicunię, a dla pocieszenia się, że nie mógł dotknąć jéj ręki, chciał przynajmniéj usiąść na stołku, na którym ona siedziała. Przesiadując się na ten stołek, zobaczył na nim przezroczystą, batystową chusteczkę. Zakochanym nie wiele do szczęścia potrzeba; — chwycił więc z radością chusteczkę i bawił się nią z rozkoszą. W pomiętych fałdach chusteczki szukał śladów jéj białéj, drobnéj rączki — przyciskał z lubością do ust te miejsca, któremi ona prawdopodobnie dotykała ustek swoich. Nie krył się wcale z temi oznakami, owszem chciał, aby Wicunia dostrzegła tego, choć w ten sposób chciał jéj wyrazić swoje uczucia. — Gdy Wicunia przetańczyła swoją figurę i zmęczona rzuciła się na stołek — on zbliżył się do niéj i stanąwszy za stołkiem, rozpoczął półgłosem rozmowę:

— Czy pani wierzy w przeczucia —? —

— O, wierzę panie. Wczoraj np. wieczorem pająk spuścił się z sufitu tuż nad moją głową i mówiłam zaraz, że mnie dziś coś dobrego spotka, że zobaczę coś, czegom nie widziała dotąd....

Blondynowi serce zabiło mocno.

— I ziściły się pani nadzieje? — spytał słodko.

— Ziściły — jak mamę kocham — nasza kotka miała dziś młode, ale jakie śliczne, bielutkie jak mléko.

Blondyn spadł z obłoków.

— Ale ja nie o takiém przeczuciu chciałem mówić.

— A o jakiémże? —

— Czy pani czasem nie doświadczała tego, że człowiek przeczuciem odgaduje przedmioty należące do osoby, która nie jest mu obojętną.

— A, tak? — rzekła Wicunia, nie wiedząc do czego blondyn prowadzi.

— Ja naprzykład znalazłem przed chwilą chusteczkę i choć była bez liter, po zapachu, po dotknięciu jéj przeczułem, odgadłem, że do pani należy.

— Do mnie? — a kiedy ja mam swoją. — I pokazała mu chusteczkę zpod wachlarza.

— Ach, jaki pan dobry, jaki pan grzeczny, właśnie jéj szukałam — odezwała się tuż za nimi chuda panna Eulalija i odebrawszy swoją chustkę z rąk osłupiałego, nieprzytomnego prawie blondyna, rzuciła mu na podziękowanie czułe, przeciągłe spojrzenie.

Brunet rozśmiał się ironicznie, tryumfująco.

(Dok. nastąpi.)

Nie ideały.

(Ciąg dalszy.)

Po burzy w chmurach, kochanek zbudzony
Z romantycznego snu z piersią rozdartą —
Widział nad sobą czarne kruki — wrony...
Które mówiły mu: że żyć nie warto:
Od ciężkich myśli opadła mu głowa.
Szedł jéj ostatnie powiedzieć — bądź zdrowa!

Potém? — ach potém łatwo się domyśleć,
Chciał się zastrzelić, albo przekłóć nożem..

To jest, z żyjących grona się wykreślić
I stanąć prosto przed obliczem Bożym;
Z księżyca w okno kochanki spoglądać,
Więcéj nie pragnął — więcéj nie śmiał żądać.

Dla niego dosyć było po promieniu
Spłynąć i w okno kochanki zapukać,
Słyszeć swe imie w jéj cichém westchnieniu;
Widzieć jéj oczy gdy go będzie szukać,
A kiedy marzyć usiędzie pod drzewem,
Słowików nocnych usypiać ją śpiewem.

Zanim się spełnią te piękne marzenia,
Dodam — przypadek tak okno urządził,
Aby mógł widzieć, jak około cienia
Jego kochanki cień mężczyzny błądził.
Wieczór był piękny i cichy w téj chwili
Tak — iż mógł słyszeć nawet co mówili.

Stanął — dwie ręce w niebo podniesione,
Stérczały jako posąg strasznéj skargi!
Oczy miał suche — lecz bardzo czerwone...
A choć bluźnierstwo wyrzucały wargi,
Słowa na ustach bez echa konały,
A był jak posąg marmurowy — biały.

Gdybym brnął daléj w ten opis straszliwy,
Mógłbym zakłócić wam sny poobiednie.
Bądźcie spokojni — mój bohatér żywy,
Odczarowany — prawda — niepowszednie
Serce mu w piersiach od bólu kołacze,
Lecz się nie skarży — niemy — już nie płacze!

To mnie uwolni od téj pieśni łzawéj,
W któréj się kąpie dziś poezyja nasza.
Wolę śmiech widzieć na twarzy choć krwawy,
Niż łzę, co serce niemęzkie ogłasza.
Za płaczem gonią romantyczni wieszcze,
Dla tego u nas bez burzy są deszcze!

(Ciąg d. nast.)

Kobiety dramatów Słowackiego.

V.

Maryja Stuart.

Któraż z czytelniczek naszych nie słyszała o téj pięknéj złotowłoséj królowéj Szkotów; któraż, jeśli nie zapłakała, to przynajmniéj nie westchnęła nad jéj nieszczęśliwym losem i okropnym końcem? — A dla czego? Bo przeważnie znamy Maryją taką, jak nam ją poeta przedstawił — a nie, jak się ona rzeczywiście przedstawiała w historyi; nie widzimy jéj win i ułomności, ale jako ofiarę zazdrosnéj Elżbiety, odartą z korony, więzioną, i to nas rozbraja i pociąga do niéj.

Słowacki z innéj odsłonił ją nam strony — dramat jego jest jakby wstępem do Schillerowskiego, wyświeca nam przyczyny, które pozbawiły Maryją tronu, zmusiły szukać schronienia w Anglii. W Maryi Schillera widzimy dalsze wyniki, pokutę za winy, ztąd cały dramat niemieckiego poety, ma ton przeważnie liryczny (wyjąwszy sceny spotkania się dwóch królowych) — a piąty akt jego, jest raczéj obrazem z żywych osób złożonym, obrazem pięknym, wzruszającym, ale pozbawionym wszelkiéj akcyi. Czém jest dla nas Amelija w Mazepie, tém Maryja Stuart tutaj — ofiarą cierpiącą bez winy prawie. Więcéj ruchu pod tym względem przedstawia dramat Słowackiego, tu Maryja odpowiada przed nami za swoje czynności, bo ma władzę i możność działania w swych rękach, a choć lud niechętny jéj papieskim rządom burzy się i napada na jéj kaplicę, choć Duglas w jéj pokoju, u jéj nóg ośmiela się zabić jéj ulubieńca Rizzia, to jednak on i jego wspólnicy po dokonanéj zbrodni uchodzić muszą przed gniewem królowéj a lud nie odważyłby się na bunt wyraźny, na wypowiedzenie posłuszeństwa królowéj, gdyby ta nie dała potém wyraźnych do tego powodów. Maryja Schillera ogołocona z oznak dostojności królewskiéj, stoi przed nami w świetnéj aureoli męczeństwa. Maryja Słowackiego choć ma głowę przysłonioną koroną, stoi przed nami jako grzesznica.

Czémże zawiniła?

Zbytkiem wdzięków i ujmującéj słodyczy. Wdzięki mnożyły jéj wielbicieli — a zbyteczna jéj łaskawość nie umiała tych wielbicieli trzymać w przyzwoitéj odległości, owszem ośmielała ich tak, iż każdy rościł sobie pewne prawa do jéj serca, ztąd kolizyje i zagmatwanie. Wprawdzie nie słyszymy z ust Maryi słów, któreby nas dostatecznie utwierdzały w tém mniemaniu, że ona kocha Rizzia, owszem upomina go sama, aby się nie zapominał, by pamiętał, że mówi do królowéj; ale cóż znaczą te słowa pozornéj powagi wobec całego jéj postępowania, które ośmiela do niéj Włocha, daje mu nadzieję i utwierdza cały dwór w mniemaniu, że ona go kocha? Jako królowa i jako żona Henryka Darnleja, Maryja nie powinna dopuszczać Rizzia do téj poufałości, zwłaszcza, że go nie kocha. Któż na miejscu Rizzia oparłby się słodkiéj nadziei i rozkosznym marzeniom miłości, słysząc z ust królowéj takie słowa:

Kiedy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca —
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.

Może Maryja temi słowy chciała tylko dać uczuć wolę swoją Duglasowi — ale Rizio, którego pewnie nie jedno spojrzenie królowéj ośmieliło wierzyć w swoje szczęście, inaczéj sobie tłomaczyć musi łaskawość królowéj — inaczéj sobie także tłomaczy je Duglas, a potém i dwór cały. Nie dość na tém. Maryja chcąc roz-

wikłać ten węzeł intryg i nieporozumień, wynikających z jéj stosunku do Rizzia, rozkazuje mu, aby opuścił Szkocyją, ale głównie do tego skłania ją obawa o życie Rizzia, któremu grożą skryte sztylety. Rizzio więc i teraz ową obawę nie może sobie tłomaczyć tylko miłością.

Ma więc odjechać Rizzio; z jego odjazdem skończą się nieporozumienia, uśnie zazdrość i niechęć Henryka; ale Maryja nie ma odwagi pożegnać swego minstrela tak zimno — pozwala na ostatnie widzenie się z nim, wyséła pazia z pismem do niego. Pismo to przejęte przez przyjaciół Henryka, obudza nanowo jego czujność i nienawiść. Chwiejny książe pozwala na zabójstwo swego mniemanego rywala i sam idzie, aby być obecnym zbrodni, mającéj się dokonać. Słabość więc królowéj sprowadza katastrofę i śmierć Rizzia.

W chwili bowiem, gdy Rizzio siedząc u stóp Maryi, żegna ją i na pamiątkę na długą chwilę rozstania prosi ją o kwiaty z jéj skroni i o wachlarz, który wonią czarowną ma mu przypominać ją i Szkocyją — zjawiają się spiskowi i Duglas szpadą Henryka zadaje cios śmiertelny, mimo próśb i gróźb Maryi.

Maryją przeraża ta scena, oburza zuchwalstwo poddanego, słaba kobieta ogląda się za męzką pomocą, mówi: że gdyby tu był jéj mąż, nie pozwoliłby na dokonanie téj zbrodni, na taką obrazę jéj majestatu i odzywa się z jękiem:

— O gdyby tu był Henryk!

HENRYK (nachylając się, cicho).

Jestem tu — przy tobie.

MARYJA (odwracając się zwolna).

Był przy mnie? — Henryk, mąż mój? Boże mój!

(pada na poręcz krzesła.)

Ten współudział jéj męża w morderstwie jéj ulubieńca zrywa do reszty węzeł wiążący ich jako małżonków. Maryja obojętna dotąd dla męża, teraz zaczyna go nienawidzić, chce się zemścić na nim, chce się go pozbyć.

W takiéj chwili szalonéj rozpaczy staje przed nią Botwel, człowiek, którego ona rzeczywiście kocha. Maryja więc bez namysłu oddaje mu się cała, odrzuca wstyd niewieści na bok i śmiało mu wyznaje swoją miłość — a w końcu mówi:

Chodź przed ołtarz Pana —
Połączę z tobą dłonie — gdym serce złączyła.
Lecz nie! — ta ręka z krwawą ręką powiązana —
On jeszcze żyje! — Boże! cóżem wymówiła.

Małecki w rozbiorze Maryi Stuart nie może zrozumieć co znaczą w téj scenie słowa Maryi, któremi wita wchodzącego Botwela:

Tyżeś to, w téj godzinie, słuchaj: w jakim celu —

bo wszak Maryja wiedziała dobrze, że przyjdzie, gdyż posyłała pazia po niego. Również to gwałtowne wyznanie miłości nie przypisuje wzburzeniu, w jakiém ją zastał Botwel, bo i bez tego Maryja wyznałaby mu miłość, gdyż nie w innym celu chciała go widzieć. To prawda, że Maryja posyłała po Botwela, ale nie trzeba nam zapominać, że między tą chwilą a zjawieniem się Botwela, dopełniło się straszne zabójstwo Rizzia; królowa, która „nigdy krwi nie widziała“, musiała patrzeć na śmierć człowieka, który jéj nie był obojętnym. Czyż więc ta chwila nie mogła jéj na czas jakiś odjąć pamięci tego, co przedtém uczyniła? — Owszém, te słowa przyczyniają się jeszcze bardziéj do uwydatnienia usposobienia, w jakiém Botwel zastaje Maryją. Temu usposobieniu on winien, że słyszy z ust jéj wyznanie, na które „wieki trzebaby czekać“. — I bez tego Maryja byłaby mu wyznała swą miłość — ale odwołuję się w tym względzie do pań naszych: czy kobieta, choćby nawet królowa, w spokojniejszym stanie duszy zdolna byłaby wymówić te słowa: „kocham cię Botwelu“. Możeby mu to dała uczuć obejściem, spojrzeniem, ale nie słowami. Gwałtowna tylko boleść z powodu śmierci Rizzia i nienawiść dla męża dobywa z głębi jéj serca to wyznanie, które wstyd niewieści długoby jeszcze trzymał w ukryciu.

Botwel więc jest tym człowiekiem, którego kocha Maryja.

Dla czego?

Sama się nam tłomaczy z tego w scenie VII. aktu 2., gdy mówi o nim:

Jak mnie zachwyca urok twéj *posępnéj twarzy*,
I ten *uśmiech goryczy*, ten *mrok zamyślenia*.

Więc ta posępność, zagadkowość, ta dusza tajemniczemi cieniami osnuta, stanowi urok, który ku niemu pociąga królową. Zestawiwszy ten charakter z charakterem Henryka miękkim, otwartym, słabym — możemy z tego porownania niby wypadkową otrzymać charakter Maryi, poznać jéj upodobanie, jéj ideał.

To, co zdawało się nieujęte, niezbadane — to ciągnęło ją ku sobie i miało dla niéj niewysłowiony urok. I bardzo naturalnie. Kobieta tak piękna musiała wszędzie na swéj drodze spotykać same podajne serca, ludzi ubiegających się o jéj względy, wyczekujących jéj spojrzeń, czekających na sposobną chwilę wyznania — zdobycie więc któregokolwiek z tych serc, zapanowanie w niém nie mogło ją nęcić, ona i tak bez zachodu była ich królową. Taki Henryk, dopóki nie zaczęła nim gardzić dla jego słabości, taki czuły Rizzio mogli szczycić się jéj łaskawością i dobrocią; ale nigdy miłością. Serce potrzebuje zwyciężyć drugie serce, aby je ukochało; im walka dłuższa, zaciętsza, tém miłość większa. — A tu serca padały jéj do nóg bez walki.

Jeden Botwel nie zbliża się do królowéj, domyśleć się można, że ją kocha, ale jéj tego nie mówi, miłość jego chowa się w ponurym cieniu milczenia. Gdy wiatr zerwał z wieńca królowéj rozkwitłe róże i rzucił je na fale — Botwel, który dotąd ponuro wpatrywał się w fale

i może samobójczemi pieścił się myślami — zbudził się nagle, zadrżał — i na sługi skinął.

Łódź mu podano — usiadł samotny do łodzi,
I ścigał kwiat zerwany.

Z tego nie trudno domyślić się Maryi, że on ją kocha — ale ona czeka na wyznanie, a Botwel nie spieszy się z niém. Zamiast u nóg jéj gruchać miłośnie i czułém spojrzeniem żebrać wzajemności — Botwel idzie do mieszkania astrologa zapytać o przyszłość swoją. Pytając się, musiał na twarzy mieć wyraz gorzkiéj ironii, przyszedł bowiem zadrwić z mędrca nauki, pyta o przyszłość, a tę przyszłość ma w ręku — jest ona zawartą w małéj flaszeczce, nazywa się trucizną. Toteż, gdy astrolog liczy mu życie na lata, uśmiecha się wzgardliwie i mówi: trzy dni dla mnie za wiele.

Co go skłania do tego samobójstwa? Każdyby z nas mniemał, że miłość do Maryi. Nie, ani jedném słówkiem nie daje nam tego poznać.

Nie zniszczyły mnie zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia —
Teraz jestem znużony — zimny — umrzeć muszę.

Jest to więc owa zwykła choroba Byronowskich bohaterów, która i Botwela chce wtrącić przedwcześnie do grobu, tą samą chorobą tknięty jest Lambro.

Jednak zastanawiając się bliżéj nad charakterem Botwela, nie możemy zrozumieć, dla czego poeta nazwał go człowiekiem o *sercu gorącém*. Ten człowiek niczém nie zdradza przed nami, że ma serce. Widzimy w nim tylko człowieka wielkiéj dumy, a małych środków do jéj zaspokojenia. Ta nierównowaga skłania go do samobójstwa. Wstrzymuje się, skoro się dowiaduje, że królowa go kocha — a raczéj wstrzymuje go przepowiednia astrologa, który mu powiada: będziesz królem. Botwel jest więc tylko zimnym spekulantem, człowiekiem, chcącym zrobić karyjerę — a ów płaszcz byronowski, w który go poeta odział, wcale mu nie do twarzy. Jakże obłudném wydaje się naprzykład jego zapytanie, zwrócone do astrologa:

Powiedz, czy na tronie spokojniéj jest, niż w grobie?

kiedy kilka wierszy daléj sam się zdradza, że nie raz we śnie widział złotą koronę — a kilkakrotném powtórzeniem: będę królem, będę królem — dostatecznie uspokaja nasze obawy, że tronu za grób nie zamieni. Gdzież więc to gorące serce? Czy wtedy, gdy niewinnego pazia usuwa trucizną z drogi za to, że wiedział o tajemnicy, jaka łączyła go z Maryją? Czy w rozmowie z Maryją? Przez cały ciąg trzech aktów, w których już zbliżył się do Maryi, nie słyszymy z ust jego ani jednego słowa, któreby nas choć na przypuszczenie naprowadzało, że on ją kocha. Jest dla niéj jak dla wszystkich cierpki, zimny i ironiczny. Nie pozbywa się jéj, bo mu potrzebna na to, aby się spełniła przepowiednia astrologa, aby został królem. Pragnie więc jeszcze bardziéj stać się jéj potrzebnym, utrwalić związek między nią i sobą. I czemże? Czy może siłą miłości? poświęcenia? Nie ma o tém mowy u niego. Przypominając jéj śmierć Rizzia, rozbudza w niéj nienawiść do męża i uczucie zemsty — a kiedy ją doprowadził do tego, że Maryja przystaje na śmierć męża i pragnie tylko, by on domyślił się, czego ona chce z jéj niejasnéj mowy — Botwel udaje, że nie rozumie, chce wyraźnego jéj rozkazu i przyzwolenia, aby całą odpowiedzialność zwalić potém na nią i uczynić ją posłuszną sobie — panu tajemnicy jéj zbrodni. Nie dość na tém — on chce jeszcze, by ona sama zbrodni dokonała.

Nie lękaj się (mówi jéj), dziś Henryk pod sztyletem
Oddalę podejrzenie — chorobą się złożę. [skona,
Lecz dopomódz mi trzeba. Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora.
Dasz mu w lekarstwie napój, co go uspi w nocy.

I daje jéj zamiast owego usypiającego lekarstwa, truciznę. Maryja więc w jego ręku jest narzędziem, którém się posługuje — sam nie chcąc brać za nic odpowiedzialności. Maryja opętana przez tego człowieka — idzie do męża, którym się brzydzi, którego nienawidzi — i do tylu win swoich dołącza szkaradny grzech obłudy, który w oczach naszych szpeci rysy pięknéj królowéj. Pozornie dbała o jego zdrowie, wlewa mu truciznę do lekarstw, wprawdzie bez wiedzy, że to trucizna, ale przecież wlewa mu z myślą, by go uspić i Botwelowi utorować drogę do morderstwa. Ale Botwel nie dał jéj nawet cieszyć się tym pozorem niewinności — on żonę wprost, bezpośrednio zrobił zabójczynią Henryka. Sam bierze na siebie tylko usunięcie śladu zbrodni, wysadzenie w powietrze wieży, w któréj (według jego mniemania) leży trup króla. Ale król żył jeszcze — wierny Nick błazen królewski wypił lekarstwo, a Henryk patrząc na jego trupa, zdumiał się nad okropnością zbrodni żony. Nie długi czas na zadumę, bo wnet zapalona mina i jego wynosi w powietrze. W taki sposób Botwel mimo chęci swojéj jest rzeczywistym zabójcą męża Maryi. Ale w oczach ludu tylko ona jest winną, jéj przypisują (w istocie słusznie) tę zbrodnię. Cierpliwość tego ludu przebrała już miarę, zamordowanie króla, jest kulminacyjnym punktem przewinień królowéj — lud się burzy.

Słyszysz te okrzyki —
(mówi Botwel, biorąc Maryją za rękę)
To nas lud ściga mściwy — wkrótce motłoch dziki
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Maryjo uchodź, uchodź..

MARYJA (odstępując od niego z przerażeniem)
Ja się ciebie boję.

BOTWEL.
Serca zbrodnią skalane, zbrodni się nie boją.
Słuchaj! otrułaś króla, jesteś moją —

Nawet téj jedynéj pociechy nie chciał jéj oszczędzić, że nie ona sama zabiła króla.

I za cóż Maryja kocha tego człowieka, tak pastwiącego się nad nią, tak skąpego w słowa miłości — człowieka okrutnego? Może ktoś chciałby sobie to wytłomaczyć demoniczną potęgą, tajemniczym wpływem, jaki wywiera Botwel na nią. Ja powiem prościéj, a może i dokładniéj:

Są kobiety, które lubią być *maltretowanemi* — taką była Maryja.

Na zakończenie jeszcze słowo przeciw zarzutowi p. Małeckiego. Pomimo bowiem tak sumiennéj pracy, tylu trafnych uwag szanownego profesora, znajdujemy w jego dziele nieraz tak dziwne poglądy, tak niezasłużone zarzuty, że dziwić się musimy, w jaki sposób p. Małecki przyszedł do nich. Do takich należy np. zarzut, że Słowacki niepotrzebnie robi Maryją tak skrupulatną, iż nie pozwala Botwelowi do podpalenia miny użyć święconéj lampy z ołtarza. Żona, która zezwala na śmierć męża (utrzymuje p. Małecki), nie będzie skrupulizować z lampą poświęcaną. Dość było panu Małeckiemu obejrzeć się po świecie, przypatrzyć się tylu ludziom, którym nieodmówienie pacierza zakłóca spokój sumienia, a oszukanie bliźniego, lub oszczerstwo, spać spokojnie pozwala — dość było autorowi spojrzeć na te jejmoście w aksamitnych salopach, całujące stopy ukrzyżowanego Chrystusa, a wychodzące potém z kościoła z dumném spojrzeniem i zadartym nosem — a nieśmiałby uczynić tego zarzutu — owszem, policzyłby go do najgenijalniejszych odcieni, któremi poeta narysował nam charakter Maryi. Maryja jest po trochu bigotką — do zewnętrznych więc oznak religii większą nieraz przywięzuje wagę, niż do istoty rzeczy. Botwel z cierpką ironiją drwi z téj pobożności królowéj. Kiedy ona mu zabrania brać lampę z ołtarza, odzywa się do niéj:

Marna trwoga —
Jeźli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga —
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem.
Lampa, to tylko marne rąk naszych narzędzie —
I mniéj Boga rozgniewa, bo mniéj winną będzie.

MARYJA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiém?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARYJA.

Tak ciemno w téj sali.

BOTWEL.

Więc udawaj, że czytasz — udawaj przed Bogiem.
Jeśli Bóg nie pochwali — człowiek cię pochwali!

Jakaż to ostra satyra bigoteryi, jaki prawdziwy rys. W ogóle powiedzieć można, że Maryja Stuart, choć ją pisał poeta w pierwszych latach swego poetyckiego zawodu, jest jedną z najlepszych jego kobiecych postaci — i o ile Maryja Schillera stawa na zbyt idealnéj koturnie — o tyle Słowacki pokazuje nam ją rzeczywiście, naturalnie, prawdziwie. Po takiém poznaniu jéj prędko otrzemy łzy, jakie nam się cisną do oczów, gdy patrzymy na rusztowanie, na którém ma skonać.

(Ciąg dal. n.)

CACKO.

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie.)

Zkądże pan jedziesz? zapytała znowu.

— Byłem ztąd o mil parę u przyjaciela i nie mógłem sobie przyjemności odmówić....

— Wiele, żeś nas pan tutaj odszukał! — wymówiła pani Runowska z goryczą.

„Ztąd o mil parę“ te słowa odbiły się w myśli i sercu Eweliny.

Pan Zdzisław o czémś innem mówić zaczął. Pani Runowska o różnych zapytywała znajomych i raz po raz wzdychała.

Ewelina siedząc obok z robotą, mało do téj mięszała się rozmowy — a potém wyszła. Młody patrzał się za nią — a ciężko mu było, jak gdyby go wyrzut przytłaczał. Widział to liche mieszkanko — liche mebelki i wszędzie niedostatek wyraźny. A z boleścią poznał, że ona do niego żal miała głęboki — czytał to w jéj spojrzeniu, w jéj rysach i słyszał w odbrzmieniu jéj głosu: Ewelina cierpiała — cierpiała ze spokojem, z rezygnacją, z poddaniem się zupełném. Cierpiała — a żal miała do niego, żal sprawiedliwy i słuszny!... Zranił jéj uczucie — jéj serce! Po cóż tak łacno zaraz poddał się uprzedzeniu — bo uprzedzeniem nazywał to dzisiaj — uległ woli uprzedzonéj babki? Byłby powinien przekonać ją inaczéj — a dobra i zacna babka byłaby się dała przekonać.... Lecz nie miał wiary w ukochaną — i tém zawinił! Patrzał się na nią, nie oczami kochanka, ale raczéj krytykującego ogółu! Myśli te krzyżowały się po jego głowie, że i rozmowa z panią domu szła tępo i nieraz zupełnie roztargnione dawał jéj odpowiedzi. Pani Runowska wszelako nie zważała na to — zajęta jedynie tym światem, o którym z gościem swoim mówić mogła — którego żałowała całą uczuć swoich potęgą.

Zdzisław niespokojny ciągle, patrzał się ku drzwiom: Ewelina nie powracała — a na dworze już zamierzchło zupełnie. Myślał, że obecności jego unika, że chce go ukarać — że go znienawidziła!

Po chwili Salusia wniosła zapaloną lampę — lecz panny widać nie było.

Dotknięty — podrażniony — zbolały — powstał, by się pożegnać — pożegnać na zawsze.

„Skończyło się wszystko. Nienawidzi mnie“! poszepnął sobie w duszy — i zimno lodowe przeszyło mu serce.

— Już sięgał po kapelusz z wyrazem pożegnania na ustach, — gdy w tém drzwi otworzono, odchylono dywan: Salusia wniosła samowar. Za nią ukazała się i panna Ewelina, niosąc talérz z pokrajanym chlebem.

Zdzisław odetchnął — i przysiadł znowu.

Przy herbacie gawędka potoczyła się raźniéj i późno było wieczór, gdy gość odjechał.

Ewelina tego wieczora modliła się długo — a potém długo jeszcze przy oknie w pierwszym siedziała pokoju: nie czuła potrzeby spoczynku. Lampa zagasła, matka i siostry spały. Patrzyła się w niebo gwiaździste ze złożonemi modlitewnie dłońmi — i nie wiedziała, czyli Bogu dziękować za te niespodziane odwiedziny dzisiejsze, czyli też powtarzać błaganie! „I nie wódź nas na pokuszenie“! — Bo i jakiż był cel tych odwiedzin pana Zdzisława?!... „C a c k o“! — wybiegło z jéj ściśnionych ust — „C a c k o“! — powtórzyła z goryczą, pochyliła czoło na krawędź okna — i rzewnie płakała.

Nazajutrz znowu była bledsza, ale spokojna zupełnie, zwykłe codzienne obowiązki spełniała.

Pani Runowska czyniła różne o wczorajszéj wizycie uwagi. Ewelina wszelako milczała na wszystko — bo i cóż miała powiedzieć? —

Potém, przez dni kilka matka drażliwszą jeszcze była, jak zwykle — znać kaleczona wspomnieniem dawniejszéj wystawności, rozrywek i towarzystw; przyczém i różne Ewelinie czyniła wyrzuty.

— Nie było odmawiać ręki p. Ignacemu, albo też baronowi — były to partje! I dziś potrzebne miałabym wygody. Nie było krzywić się na hrabiego, a byłabyś pewnie hrabiną!... Zapewneś odstręczała i pana Zdzisława, bo uważałam po jego minie, że ma urazę, i stał się całkiem obojętnym dla ciebie. A że do nas wstąpił, to chyba przez ciekawość tylko, jak tę d e g r i n g o l a d ę fortuny znosimy.... Zresztą, on zawsze z wielkim był dla mnie szacunkiem i uznaje zapewne, że nieszczęśliwą jestem ofiarą. Nie rozumiem, coś miała w głowie!... O jakżeż nieszczęśliwą jestem matką!

Ewelina łzami zalana wybiegła z pokoju. Pani Runowska przeszła się po nim parę razy — potem w swoim zasiadła fotelu i romans *Montepin*'a daléj czytać poczęła.

Po Nowym-Roku zjechała panna Ludwika do Warszawy. A pierwsza nowina, którą rozstrząsała wszędzie, była: że pan Zdzisław jest d e k l a r o w a n y m k o n k u r e n t e m panny Eweliny Runowskiéj — bo już trzy razy był w Janpolu: *„Il file l'amour parfait“* — dodawała zwykle. Niczém *Parys* i *Orpheus!*

Pułkownikowa uśmiechała się tylko w milczeniu — ale onym uśmiechem, który oznacza, że wiemy więcéj, aniżeli powiedzieć chcemy.

— „Jak mamę kocham“! — powtarzała panna Ludwika — że to będzie para! Ewelinka jest dzisiaj taką, jak gdyby była przez lat piętnaście pensjonarką staréj prezesowéj: p r a k t y c z n a j a k A m e r y k a n k a. Pokazuje się tutaj dowodnie, że miłość najwyższą jest mistrzynią. Pan Zdzisław doskonałą sobie połowicę dobierze: *il à trouvé chansure à son pied.* Będą pospołu grykę siali i kądziel przędli! — zaśmiała się panna wesoło, dowcipne w koło rzucając wejrzenie — *Philemon* i *Baucis*, *Hercules* i *Omphale!* — bielutkie zatarła rączki. A mama Runowska znowu w ładnym zasiądzie salonie, ustroi się w t e r m o ł a m ę i koronki, na stoliku rozłoży świeże romanse *Dumas'ów* i *Montepiu'ów*, ustawi flakoniki z różnemi woniami, nowe wciągnie rękawiczki, będzie dobrą zapijała czokoladkę, cedziła przez zęby lody i smaczne c h r u p a ł a ciasteczka, ale.... już tyle z d r o w a s i e k odmawiać nie będzie. *Comme je vous aime!* — i przesłała ciotce całus w powietrzu.

— Jesteś złośliwą — wymówiła pułkownikowa.

— To jest dar natury, *chere pètite tante!* — i poskoczyła do fortepianu, by jakąś francuzką zaśpiewać piosenkę.

Dzień kwietniowy był piękny, słoneczny, przewoniony wiosną — i dworek w Janpolu weselszą przybrał barwę, że aż uśmiechał się niby. Małe pokoiki były jakoś przybrane świątecznie i jaśniały przedewszystkiem czystością wzrorową.

Pani Runowska ustrojona, jak na teraz, niezwykle, w swoim siedziała fotelu. Ewelina, starannie jak zazwyczaj, lecz skromnie ubraną była — ale, to rumieniec na jéj zakwitł licu, to i znowu bladła nieboga. Wandzia, za przykładem starszéj siostry, bukiety z polnych kwiatów ułożyła w wazony. Milka czegoś to wyglądała oknami, to wybiegała przed dworek.

Około godziny czwartéj z południa wtoczyła się podróżna kareta w dziedziniec.

Ewelina powstała z krzesła — upuściła robotę — pobladła — przystanęła nieruchoma — a serce jéj biło, że można było uderzenia jego posłyszeć.

Kareta zajechała przed dworek. Wyskoczył z niéj Zdzisław i pomógł wysiąść babce.

Pani Runowska z córkami szanownego gościa przede dworkiem powitały.

Wprowadziły ją do pokoju. Ewelina zdjęła z niéj płaszczyk, a Wandzia odebrała kapelusz.

Pan Zdzisław nadzwyczaj uszczęśliwiony miał wyraz.

— Cieszę się, że kochaną panią w dobrém zastaję zdrowiu — i prezesowa po raz drugi panią domu uścisnęła.

— Chodźno tu, Ewelinko! — wymówiła następnie, biorąc zbladłe dziewczę za rękę. Cóż tak zimną masz rączkę? Takaś blada! Siadaj aniołku! — i posadziła ją przy sobie na kanapie.

Pani Runowska zwykły sobie fotel zajęła.

Pan Zdzisław siedział na szpilkach niby.

— Moja droga pani — zwróciła się sędziwa pani do matki Eweliny — odróbmy wszystko od razu, to

i lżéj będzie sercu. Ś. p. mąż mój jakieś tam zawsze przy takich okazjach łacińskie przytaczał przysłowie. Otóż, kochana pani, przybyłam prosić o szczęście mojego wnuka: pokochał córeczkę twoją, i zechciéj mu ją oddać na towarzyszkę dozgonną!

— Wybór wielce zaszczytny.... jeżeli serce Ewelinki przemawia, będę szczęśliwą.... — jąkała się pani Runowska.

— To i cóż ty na to, panienko? — zwróciła się sędziwa matrona do panny. Wszakżeż przyjmujesz mojego Zdzisia? — przytuliła ją do siebie, a dziewczę zapłakało w tém serdecznem, macierzyńskiém ujęciu.

— Wszakżeż przyjmujesz? —

— Przyjmuję.... mój Boże! — poszepnęła młoda dziewczyna.

Zdzisław uszczęśliwiony, całował ręce matki, babki i uroczéj wybranéj swojéj.

— Nazywałam cię cackiem, cackiem salonów, wymówiła babka, glaszcząc jéj zróżowione lica — a tyś cacko szczéro-złote, brylantowe!

— Oby każde cacko takim stało się klejnotem! — zawołał Zdzisław, klękając w uniesieniu wdzięcznego uczucia przed swojém ślicznem cackiem, i kładąc jéj na palec pierścionek, dawną rodzinną pamiątkę.

— Amen! — wyrzekła babka i znak krzyża ś. ponad ich zrobiła głowami.

ROZMAITOŚCI.

Dnia 5go t. m. miał Prof. Karliński odczyt „o spadających gwiazdach“. Publiczność, która pomimo słoty trapiącéj nas od dni kilku, licznie się zebrała, towarzyszyła potoczystemu odczytowi z widocznem zajęciem i zbogaciła się wiadomościami z najszczytniejszéj nauki. Astronomia bowiem jest największą dumą człowieka; niemogąc się dotknąć, często niemogąc nawet widzieć, dochodzi człowiek samą siłą rozumu do znajomości i praw światów, wobec których ziemia nasza jest zaledwo drobném ziarnkiem. W miarę ważności jaką ma ta umiejętność dla człowieka, w miarę tego jak jest trudno rzecz opartą na najściślejszych i najgłębszych dowodach przedstawić przystępnie publiczności i poprowadzić ją bezpiecznie wśród nieznanych światów — w miarę tego rośnie i wartość odczytu, którego naukowa treść na przystępności nic nie straciła i którą Sz. Prof. umiał nawet uzmysłowić wygotowaniem modeli, przedstawiających linie zakreślone przez obieg ziemi i innych planet. Poprzestajemy na téj krótkiéj wzmiance, odczyt bowiem ten obejmujący wyniki z najnowszych badań nad gwiazdami spadającemi i kometami, owemi uroczemi zjawiskami, których peryjodyczne ukazywanie się połowę ludzi strachu nabawia — podamy następnie w obszerniejszém streszczeniu według rękopisu udzielonego nam łaskawie przez Sz. Profesora.

W piątek znany literat P. Lucian Siemiński mówił „o samobójstwie, jak je pojmowali starożytni a jak je pojmują w nowszych czasach“.

— **Teatr amatorski.** Na dochód ubogiéj młodzieży instytutu technicznego odegrali w poniedziałek amatorzy dwie komedyjki: „Przez zazdrość“ Musseta, i „Po naszemu“ Józefowicza. Pomimo to, że grano komedyjki znane już naszéj publiczności — teatr był przepełniony i nie z saméj tylko grzeczności sypano grającym rzęsiste oklaski; gra bowiem wszystkich prawie była taką, żeby jéj się nie powstydzili artyści rutynowani i oswojeni ze sceną. Szczególniéj role kobiece nie pozostawiały nic do życzenia. Szkoda, że tak rzadko i z taką trudnością składają się u nas teatra amatorskie, które obok przyjemnéj zabawy i szlachetnego celu, mają jeszcze to za sobą, iż odkrywają nieraz znakomite talenta dramatyczne. Najwięksi artyści nieraz w taki sposób próbowali sił swoich i teatrom amatorskim zawdzięczali rozbudzenie drzemiących zdolności. Najlepszą może porą do takich przedstawień jest pora letnia, w któréj miasto pozbawione na czas jakiś grona swych artystów, z przyjemnością brałoby w nich udział. — Dochód czysty przyniół 370 złr.

— Do zabaw wielce przyjemnych i pożytecznych, jakie miastu naszemu w tegorocznym poście przypadły, należy policzyć **niedzielne koncerta**, z których już dwa się odbyły. Muzyka pułku Vaza wykonuje w sali hotelu saskiego wielkie kompozycje muzyczne z mistrzowską dokładnością, a sola na skrzypce i trąbkę zasługują rzeczywiście na tak huczne brawa, jakiemi je publiczność obsypuje. Urządzenie tych koncertów było bardzo szczęśliwym pomysłem. Popularyzowanie muzyki jest zarówno potrzebne jak popularyzowanie wszystkich sztuk i umiejętności i może szlachetnie oddziaływać na ogół publiczności. Nizkie wstępne jest również niepoślednią zaletą.

— Pani Joanna Bolejewska, znana już z wielu poważnych prac, wydała świeżo w przekładzie z francuskiego Baudvillart'a „Przewodnik ekonomii polityczném“.

— **Teatr polski w Stanisławowie** zajął odrazu poważne stanowisko odpowiednie pojęciu téj instytucyi. Rozpoczęły się przedstawienia od Słowackiego i Fredry. Na występy gościnne zapowiedziani są: PP. Aszpergerowa, Modrzejewska, Nowakowscy, Szymański. Na repertoarzu są: „Niepoprawni“ — „Otello“ — „Rozbójnik salonowy“ Magnuszewskiego; — 3go t. m. grano komedyją Michała Bałuckiego: „Polowanie na męża“.

— Donosimy, że we Lwowie rozpisano **konkurs 300 złr. na dramat** lub **komedyją oryginalną**, napisaną dla sceny. Szczegóły konkursu ogłosiły wszystkie dzienniki polskie.

— **Grób starożytny** z czasów rzymskich nietykany dotąd odkryto we Francyi. Jest on ułożony z płaskich kamieni i pokryty cegłami. Szkielet w tym grobowcu znaleziony, już w części w proch się rozsypał, a wnosząc z długości i przyborów, pochodzi z młodéj dziewczyny. Przybory do ubrania wykazują niemniéj drobiazgów jak dzisiaj są używane. Wokoło głowy do przytwierdzenia włosów pięć igieł z bronzu i z kości słoniowéj; na szyi i piersiach naszyjniki, klamry i szpilki; naszyjnik jest z drutu złotego w ogniwa w kształcie ósemki, przedzielony ziarnami krwawnika, ozdobiony na przodzie szyi listkiem, u którego wisi gruszka, także z krwawnika, osadzona między dwoma perłami; po obu stronach wiszą jeszcze dwa duże sygnety oprawne à jour. Klamra i szpilki przytrzymywały peplum, płaszczyk na barkach i piersiach. Włosy były uczesane w kilka przedziałek, tworzących snopy.

Znana od kilkunastu lat

FARBIERNIA

Franciszka Majera

w KRAKOWIE ulica GARBARSKA (Piasek) pod liczbą **72**, ulepszona świeżo i rozszerzona, podejmuje się wszelkich zamówień farbierskich, które z dokładnością po umiarkowanych cenach uskutecznia.

Przy dzisiejszym numerze załącza się dla prenumerujących pierwszy arkusz „Biblioteki dla kobiet“.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.